

TOWARZYSZE

Wieczór był pogodny. Cała okolica, zastygła w mroźnym, zimowym uścisku, przykryta była niezbyt grubą, śnieżną pierzyną. Bezchmurne niebo, rozświetlone blaskiem gwiazd i pełną, srebrzystą taflą księżyca, zapewniało doskonałą widoczność. W oddali dało się dostrzec, jakby przycupnięte wzdłuż zamarznętej rzeczki, ośnieżone domy Kochale¹ i Borownicy, z których wąskim, jasnym obłokiem unosił się dym, przywodząc na myśl ciepły, kaflowy piec, gorącą herbatę i puchową, miłą pościel.

Myśli odruchowo zdawały się biec ku błogim wspomnieniom, jednak siarczysty mróz i zamrznęte, zgrabiałe palce bardzo szybko przypominały o obowiązku. Należało bacznie obserwować budzącą grozę, ciemną ścianę lasu, od czasu do czasu przysłanianą tumanami zmrożonego śniegu, wzbijanymi przez hulający na przedpolu wiatr. Za tym lasem był nieprzyjaciel. Tam rozłożył się na pozycjach i tam zapewne szykował kolejny atak. A może już był w lesie? Może na jego skraju niemieccy zwiadowcy obserwowali usytuowane w lesie po drugiej stronie rzeczki polskie pozycje, czekając na dogodny moment? Kolejny niemiecki szturm mógł nastąpić w każdej chwili. I jak zawsze nie w porę.

Odgłos skrzypiącego śniegu wyrwał Janka z zamyślenia. Chłopak zerwał się na równe nogi i rzucił do lodowato zimnego kaemu², tracąc na chwilę równowagę na zmrożonych, nieheblowanych belkach sklecone go w pośpiechu szańca. Kilka lat starszy Władek, siedząc w wykrocie, spokojnie spojrział na młodziana.

- Langsam³. Siła tu nas, więc nie będą robić podchodów. Zanim ruszą, przykryją nasze pozycje artylerią. Poza tym z tyta struny nie podejdum. To pewno nasi.

Władek był wysoki, nieco wychudzony i szpakowaty. Prawie całą wojnę był gefreiterem⁴ w armii niemieckiej, z której nawiał w sierpniu zeszłego roku. Podobno walczył z Fancozami pod Verdunem⁵, ale nigdy nie chciał o tym rozmawiać.

- Achtung!⁶ Lyza! – rozległ się donośny głos na tyłach szańca, złożonego głównie z nawrzuconych na kupę gałęzi i belek, teraz dodatkowo pokrytych zamrznętym śniegiem.

¹ Dziś Chachalnia

² KM – karabin maszynowy

³ Powoli

⁴ Odpowiednik plutonowego w wojsku polskim.

⁵ Bitwa pod Verdun – toczona od 21 II do XII 1916 r. w okolicy miejscowości Verdun we Francji. W zamierzeniu niemieckiego dowództwa walki miały wykrwawić armię francuską. Po serii ataków i kontrataków, w których obie strony poniosły ciężkie straty (blisko 350 tys. po każdej ze stron) Verdun pozostało w rękach Francuzów. Walki te przeszły do historii jako „piekło Verdun” lub „młyn verdeński”.

⁶ Uwaga!

- Słysza przecie, że lyziesz. Szkopy tyż pewno słyszum. A jak się drzesz, to może nawet generał w Miliczu cię słyszy! – odparł teatralnym szeptem Władek.

W ciemności zdało się słyszeć stłumiony śmiech, po czym na umocnienia szańca niezgrabnie wdrapał się żołnierz, opatulony w niemiecki płaszcz w kolorze feldgrau⁷ z postawionym kołnierzem. O tym, że to Polak świadczyła jedynie rogatywka z metalowym orłem Wojsk Wielkopolskich i zielonym treflem kaprała po jego lewej stronie. Dopiero z bliższej odległości dało się w wojaku rozpoznać Staszka, pogodnego chłopaka z Jarocina, który ostatnie kilkanaście miesięcy przed powstaniem spędził w krotoszyńskim lazarecie w seminarium nauczycielskim. Walcząc z Francuzami na zachodzie, został ranny odłamkiem szrapnela w rękę. Co prawda wylizał się już dawno, ale dzięki znajomościom u miejscowego lekarza, mógł sobie trochę posymulować, żeby go broń Boże znowu na front nie wysłali.

- Do Snadnych harcerze przyjachali, amunicji i żarcia nawieźli. Zaro bydzie tu Lucek, to wos zmienimy.

- Harcerze przyjechali? A to jakim cudem? – zapytał Janek, który na placówce w Borownicy był dopiero od kilku dni.

- Jak zawsze. Sankami. Z Krotoszyna wożą broń i amunicję. Na szczęście śnieg jest, bo inaczy nie dali by rady.

Staszek spojrział na ręce Janka, do tej pory ukryte w obszernych rękawach wojskowego płaszcza.

- Ty! Młody! A rynkawice kaj mosz? Paluchy ci poodpadajum, jak nie budziesz ich nosiuł.

- Zapomniałem. Na szybko wybiegałem na posterunek i zauważyłem dopiero tutaj. Chyba zostawiłem je u Snadnych.

Staszek i Władek spojrzeli na siebie i... wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Z młodą się zagadoł. No to teraz bydzie znowu okazja z Julką pogaworzyć, bo paluchy mosz sine i musi ci je opatrzeć – powiedział śmiejąc się Staszek.

Janek się nie odezwał. Poczzerwieniał aż po uszy. Pierwszy raz od wstąpienia do powstańczego wojska, cieszył się, że na głowie ma głęboki, niemiecki stahlhelm⁸.

- I co rzycie? – ostry głos odezwał się zza ich pleców – Przez tyn rehot namacajum szaniec i po nos.

- A no nic. Nudno jest, to se gaworzymy – powiedział spokojnie Władek – poza tym Lucek, to ostatnio ty żeś rzoł, jak porucznik wyrznął się na prosty drodze.

- Trudno było wtedy nie rzeć – powiedział wchodzący na szaniec, krępy powstaniec o czarnych włosach i wąsach – pół kompanii leżało pokotem ze śmiechu.

- Dobra. Lećcie do placówki się najeść i ogrzać. A ty, młody, idź z tymi rynkami na punkt opatrunkowy. Żebyś sobie jakiej bidy nie narobiuł – powiedział Staszek.

- Zostawcie tylko stahlhelmy – dodał za schodzącymi z posterunku Lucek – Chryste. Jak ja nie znoszę zakładać tegu germańskiego ścierwa.

- Nikt nie znosi, ale na posterunku nakaz jest i tyle.

⁷ „Polowo szary” kolor niemieckich mundurów wojskowych.

⁸ Charakterystyczny, niemiecki hełm stalowy, wprowadzony do służby w 1916 r.

Władek i Janek przewiesili karabiny przez ramię i ostrożnie ruszyli wydeptaną w leśnym runie, wąską ścieżyną. Jeszcze przez chwilę słyszeli narzekania Lucka na niemiecki hełm, w duchu podzielając zresztą to zdanie, lecz po jakimś czasie jego głos zamilkł. Ciszę przerywało tylko miarowe skrzypienie śniegu pod podkutymi, wojskowymi trzewikami oraz chuchanie Janka w przemarznięte dłonie. Raz po raz powstańcy zatrzymywali się, by sprawdzić czy trzask spadającej, oblodzonej gałęzi aby na pewno był czymś naturalnym.

- Na Szkopów zawsze trzeba uważać – rzekł poważnie Władek - Jeszczy parę tygodni temu podchodzili pod nasze posterunki i je rozbijali bez wystrzału. Majum tam sporo takich, co po naszymu godają.

Janek nie skomentował. Był zbyt zajęty rozcieraniem zmarzniętych dłoni. Widząc to, Władek bez słowa ruszył dalej.

Las był piękny o tej porze roku. Wszechobecna biel oraz przystrojone soplami gałęzie drzew robiły imponujące wrażenie. Wrażenie, które gdzieś ustępowało nastrojowi grozy. Powalone, bądź strzaskane pociskami artyleryjskimi drzewa i pokryte cienką warstwą białego puchu, głębokie leje po wybuchach. Zimowe piękno przyrody otaczającej śląsko-wielkopolskie pogranicze zakłócał też widok rozbitych szańców – niemych świadków zaciętych walk sprzed kilku dni, po których pozostały jedynie belki nienadające się już do budowy nowych umocnień. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Polacy kilkakrotnie tracili i odbijali to miejsce z rąk niemieckich. Teraz nasze, polskie było na wierzchu.

Powstańcy przez jakiś czas szli wzdłuż niewielkiej, krętej rzeczki, której brzegi porośnięte były zwiędłą, zmrożoną obecnie roślinnością. Minęli kilka leśnych posterunków, już z daleka się okrzykując. Szczególnie gorliwy był w nawoływaniu Władek, który cały czas miał w pamięci nie tak dawne wypadki ze strzelającymi do wszystkiego co się rusza, młodymi żołnierzami.

Po jakimś czasie żołnierze ostrożnie przekroczyli zamarznąłą rzeczkę i ruszyli skrajem lasu na południe, w stronę placówki powstańczej. Placówkę zorganizowano w gospodarstwie Józefa i Nepomuceny Snadnych. Parterowy, murowany dom znajdował się tuż przy drodze prowadzącej z Kochale do Zdun. W zabudowaniach gospodarczych urządzono kwaterę dla powstańców, punkt sanitarny oraz kuchnię polową. Na samą myśl o piecu, ciepłej strawie i dachu nad głową obaj powstańcy przyspieszyli kroku. Janka do placówki ciągnęła dodatkowo jeszcze myśl o młodej Juliannie, córce gospodarzy, która pełniła rolę łączniczki, a przede wszystkim sanitariuszki.

Z rozmyślań o zbliżającym się odpoczynku wyrwała powstańców seria głuchych, poniesionych echem huków. Jankowi zdawało się, że stłumionym wybuchom towarzyszyło kilka rozbłysków rozświetlających i tak już jasne niebo nad południową ścianą lasu.

- Unter!⁹ – krzyknął chrapliwie Władek i wskoczył do porośniętego uschniętą i zmrożoną roślinnością rowu. Janek zastygł w miejscu, nie wiedząc co się dzieje. Dopiero świst lecących pocisków i krzyk towarzysza zmusił młodego żołnierza do reakcji.

⁹ Padnij!

- Na ziemię młody! Na ziemię! – wrzeszczał Władek ściśle przywierając do porastającej rów, zmarzniętej roślinności – Skacz do rowu!

Janek oprzytomniał. Pociski artyleryjskie spadały w różne miejsca, co zdawały się poświadczać ogłuszające wybuchy. Pomiędzy hukami rozrywanych pocisków zdało się także słyszeć, dochodzące z oddali krzyki i wydawane w pośpiechu komendy. Na szczęście dla Władka i Janka, żaden pocisk nie spadł w ich pobliżu. Jak narazie.

- Nie możemy tu zostać! – próbował przekrzyczeć wybuchy Władek – Zaro coś tu może walnąć! Muszynie jak nojszybci dotrzeć do placówki albo do jakiego szańca!

- Do Snadnych najbliżej! – wrzeszczał z całych sił Janek, nie wiedząc, czy cokolwiek z jego słów dotarło do uszu towarzysza. Nagle poczuł, jak coś z mocą podnosi go za kołnierz płaszcza i stawia na nogi.

- Idymy! – krzyknął podnoszący młodzieńca Władek, biegiem ruszając widzącą skrajem lasu drogą – tero muszum przeładować!

Janek nie dał na siebie długo czekać. Chwycił karabin w przemarznięte dłonie i pędem rzucił się za towarzyszem. Biegli szybko, potykając się co jakiś czas na grudach zmarzniętej ziemi lub ślizgając się na pokrytej śniegiem trawie. Już widzieli w oddali zabudowania Borownicy, gdy usłyszeli kolejną serię głuchych wybuchów zza lasu. Tym razem Janek nie miał już czasu wypatrywać rozbłysków. Wiedział co się zaraz wydarzy.

- Hinligen!¹⁰ – po raz kolejny gardłowo wrzasnął Władek i po raz kolejny rzucił się do rowu. Tym razem nie trzeba było powtarzać – Janek prawie automatycznie zrobił to samo.

Pociski ze świstem spadły teraz zdecydowanie bliżej. Jeden z potężnym hukiem rozerwał się ledwie kilka metrów od ich pozycji, pokrywając ukrytych w rowie powstańców warstwą poderwanych na kilka metrów ziemi i śniegu. Janek usłyszał urwany krzyk towarzysza. Przywarł do ziemi i wśród wstrząsających okolicą wybuchów, zaczął się czołgać do miejsca gdzie zaległ Władek. Odetchnął, gdy usłyszał jego jęki.

- Psia krew – złorzeczył – dostałem w nogę.

Janek zauważył pokryty czerwoną posoką śnieg w pobliżu nogi towarzysza oraz rozerwane na wysokości łydki, zakrwawione spodnie. Wybuchy ucichły.

- Idzimy! Opatrzę cię na miejscu! – zakomenderował Janek, sam się sobie dziwiąc. Chwycił Władka pod ramię i ostrożnie poniosł. Ten syknął z bólu, ale ruszył w stronę placówki.

Szli wolno, ostrożnie, Janek podtrzymał towarzysza, zerkając to w stronę Borownicy, to na krwawiącą nogę rannego. Wokoło zapanował złowrogi spokój. Gdzieniedzie dało się zauważyć dymiące jeszcze leje po wybuchach na pobliskich polach oraz świeżo obalone i połamane drzewa na skraju lasu.

- Bydą walić jeszcze roz – powiedział ciężko dysząc Władek – potym ostrzelają przedpole z kaemów i dopiero wtedy wuchta chłopca wylyzie z lasu tyralierą.

Echo po raz kolejny poniosło dudniący huk wystrzałów. Tym razem nie trzeba żadnych komend. Obaj powstańcy odruchowo rzucili się do pobliskiego rowu i przywarli do zmrożonej ziemi i trawy. Tym

¹⁰ Hinlegen! – Padnij!

razem pociski spadły na szczęście nieco dalej, jednak część z całą pewnością dosięgnęła zabudowań Borownicy. Ostrzał trwał tym razem dłużej.

- Coroz gorzy z moją nogą. Ciężko będzie iść – z grymasem bólu na twarzy rzekł Władek.

- To ostatni ostrzał, będzie łatwiej – Janek starał się, by w jego głosie było jak najwięcej pewności siebie. Nie wyszło.

Pomógł wstać rannemu i ruszyli dalej, w stronę powstańczej placówki. Tym razem szli bardzo powoli. Jasne było, że każdy kolejny krok sprawia Władowi olbrzymi ból, ten jednak nie poddawał się. Z zaciętym wyrazem twarzy szedł przed siebie. Janek nie odezwał się ani słowem.

Kiedy usłyszeli kolejną serię wybuchów spojrzeli na siebie z nieukrywanym zdziwieniem, lecz nie namyślając się znów zalegli w przydrożnym rowie. Tym razem jednak stało się coś dziwnego. Pociski ze świstem spadały na polską stronę linii frontu, lecz nie wybuchały. Obaj powstańcy byli też pewni, że co najmniej jeden pocisk spadł niedaleko nich. Nie towarzyszył mu jednak tym razem ani ogłuszający wybuch, ani przyprawiający o mdłości wstrząs. Dopiero po dłuższej chwili słyszalny stał się głuchy odgłos pękającej powłoki oraz przejmujący, świdrujący syk. Władek podniósł głowę.

- Jezus Maria! Janek wiej! – krzyknął przerażonym, zmienionym głosem.

- Zaraz pomogę ci wstać... – zaczął Janek.

- Chryste! Leć! Uciekaj! Zostaw mnie! – przerwał mu z obłędem w oczach Władek. W miejscu, z którego dochodził syk pojawiła się dość szybko rosnąca chmura gęstego, zgniłozielonego dymu.

- Już idziemy! – Janek próbował uspokoić i chwycić towarzysza pod ramię, lecz ten brutalnie zerwał chwyt.

- Uciekej! Ze mną nie zdążysz! – krzyczał ze zgrozą ranny.

Nienaturalny obłok zaczął powoli sunąć w ich kierunku. Janek szarpał się z lżącym, próbując go obezwładnić i podnieść.

- Uciekej! Jest po mnie! Choć ty się ratuj! – Władek darł się jak opętany.

- Razem uciekniemy...

- Uciekej... – Władek z wyrazem beznadziei w oczach wymierzył w towarzysza swojego mausera.¹¹ Przeładował – Uciekej... bo strzelę...

Zapanowała cisza. Ucichł nawet syk leżącego nieopodal pocisku. Pełznąco nisko przy ziemi, zielony obłok w upiornej ciszy zbliżał się do rowu. Osłupiały Janek uniósł ręce do góry i cofnął się o kilka kroków.

- Władziu... co ty... – wybełkotał

- Uciekej bo strzelę – wysyczał ranny

- No co ty...

Strzał. Tuż obok nogi...

- Biegnij, bo Cię zastrzelę – Władek po raz kolejny przeładował.

Janek niepewnie zaczął się wycofywać, z podniesionymi rękami.

Strzał....

¹¹ Niemiecki karabin Mauser wz. 1898.

- Biegiem! – przez zacięte wargi wysyczał Władek. Przeładował.

Janek odwrócił się i zaczął biec. Po kilku krokach spojrzał w tył. Smuga pełzającego obłoku wdzierała się właśnie do rowu, w którym jeszcze przed chwilą szukali schronienia obaj towarzysze...